Nr. 22. We Lwowie dnia 31. maja 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Lelewel a młodzież polska.

Łatwa sława nie bywa udziałem tych, co zuchwałą ręką zrywają zasłonę z oblicza Prawdy i w burzącą się otchłań myśli ludzkiej śmiało idą aby z niej perłę nowego wynieść blasku. Wyjątku z ogólnego prawidła nie stanowi i Lelewel, którego pierwsze kroki w zawodzie naukowym spotkały się z nieufnością, lekceważeniem, a nawet szyderstwem i krzywdą. I jeden tylko odłam społeczeństwa oświadczył się od pierwszej niemal chwili za, a nie przeciwko niemu, otoczył go uznaniem, które wzmagało się w miarę, jak wyrastała jego sława, jego wziętość obywatelska. Odłamem owym była młodzież, owa »do światła zwrócona źrenica narodu«. Przeczuła ona wielkość Lelewela wówczas jeszcze, gdy ta była tajemnicą dla pierwszych głów w kraju. Kochankiem jej stał się mędrzec-republikanin; »rozmnożyciel i patron rewolucyjnych w Polsce wyobrażeń, — mówi Mochnacki — omamił ją rozległością pojęć swoich, mocą wyobrażeń, głęboką znajomością powodzeń i klęsk rodu ludzkiego«. I wiele, — że nie powiem wszystkie, — zielonych liści lauru rzuciły młodzieńcze dłonie na górną, a więc skalistą i znojną drogę Lelewela.

Kiedy uczona krytyka doradzała przyszłemu autorowi »Polski, dziejów i rzeczy jej«, aby się nie zapuszczał w badania zamierzchłych czasów, bo tem własnej tylko dowiedzie zarozumiałości; kiedy Towarzystwo przyjaciół nauk nie chciało go przyjąć na członka, a drukarnie wzdragały się wytłoczyć swą firmę na jego dziełach, których bywał sam — w braku innego — nakładcą, młódź w Krzemieńcu, a potem w Wilnie i Warszawie, otaczała go najżywszą sympatją, słuchała jego słów, jak wyroczni. Było to wszakże tylko przegrywką, wstępem do wziętości, jaką pozyskał za powtórnego w Wilnie pobytu. Wielowładne wpływy Jana Śniadeckiego odpychały przez dłuższy czas Lelewela od katedry historji przy uniwersytecie wileńskim, lecz kiedy uczony matematyk uległ w końcu opinji publicznej i Lelewel przybył do grodu Gedymina z nominacją na profesora, młodzież witała go z radością, z uniesieniem bez granic. W dniu otwarcia kursu żadna z sal wykładowych nie mogła pomieścić zgromadzonego tłumu, aż rektor zmuszony był uchylić podwoje olbrzymiej auli, która się w mgnieniu oka przepełniła słuchaczami. Po skończonej prelekcji, w której Lelewel, porwany prądem ogólnego uniesienia, prześcignął samego siebie, mury trzęsły się od oklasków ochoczych dłoni młodzieńczych. I wówczas to młode pokolenie złożyło przez usta genjalnego tłumacza zbiorowej swej duszy, przez usta piewcy »ody do młodości«, pierwszą daninę publicznego hołdu u stóp tego, co światłem przenikliwej myśli rozpraszał ciemność, rozciągnioną nad kolebką narodu. Adam Mickiewicz, były uczeń Lelewela, przybyły umyślnie na tę uroczystość z Kowna, wygłosił znany swój wiersz »Do Joachima Lelewela«, który kończy prośbą, aby nie pogardził wieńcem jaki mu »wdzięczni składają młodzieńce«

Obok uwielbienia dla uczonego, które znalazło wyraz w dniach powitania, zakwitła niebawem w młodych duszach gorąca miłość i cześć dla człowieka. Bratersko życzliwy dla wszystkich bez wyjątku słuchaczy, gotów spieszyć każdemu z pomocą, czy kto potrzebował złota jego wiedzy, czy zasiłku na chleb powszedni (na to ostatnie niemal całą pensję profe-

sorską wydawał), ujmujący w ruchu, spojrzeniu i słowie, Lelewel — że powtórzę wyrażenie jednego ze spółczesnych — »zawracał głowy« młodzieży, której z górą tysiąc uczęszczało na jego wykłady.

Niedługo trwał wszakże zawód profesorski Lelewela. Car, który go nienawidził potrójną nienawiścią, jako Polaka, republikanina, rewolucjonistę, pozbawił wkrótce katedry, ale wpływu na młodzieńcze umysły pozbawić nie miał władzy. W Warszawie, dokąd się przesiedlił po opuszczeniu Wilna, otoczyły go znowu młode, gorące, szlachetne serca ciasnem kołem.

Wiara w światło jego rozumu i serca była bezbrzeżna: przed forum jego powagi wytaczano najważniejsze i mniej ważne sprawy. W komentarzach do listów sławnego swego syna Marja Mochnacka przytacza zajmujące w tej mierze szczegóły. Opowiadając mianowicie o żwawych dysputach, jakie miewały miejsce między Maurycym, a przyjacielem jego, Michałem Podczaszyńskim, tak pisze dalej: »...czasami jeden za drugim w największym nieładzie kamizelek i tużurków i głów niewyczesanych, dla szybkości bez kapeluszów biegli na drugą stronę ulicy do Joachima Lelewela, naprzeciwko mieszkającego; a ja w oknie widziałam, jak przed nim, ową wyrocznią całej młodzieży, nawzajem oskarżali się i za sędziego brali. Te sceny tak bywały częste i zajmujące, że ich pominąć nie mogę; charakteryzują one szczęśliwy wiek naszej młodzieży, która żyła w całem znaczeniu tego wyrazu, światłem wszelkich nauk i mądrością ludzi sławnych«.

Najwymowniejszy atoli dowód zaufania dała swemu wybrańcowi młodzież, zwierzając się przed nim z tajemnic politycznej swej roboty. Przeczuwała snać, że genjusz tego męża pojmie wysokie loty jej wyobraźni i sny serc gorących. Piotr Wysocki, twórca Związku Wojskowego kilkakrotnie porozumiewał się przed Nocą Belwederską z Lelewelem, piastującym natenczas godność poselską i u niego szukał sankcji dla działań i zamysłów stowarzyszenia, o którem pisze historyk, że »była to burza zawarta w ognistych głowach, przechodem swoim, jak gwałtowny uragan, mogąca wniwecz obrócić wszystko, coby jej na drodze zawadzało«.

Podczas powstania Lelewel — minister oświaty w pamiętnej onej dobie — zaznacza ponownie solidarność swą z młodzieżą, stając w obronie głośnego jej przedstawiciela, belwederczyka, Seweryna Goszczyńskiego, którego biskup płocki oskarżył o bezbożność z powodu wiersza p. t. »Modlitwa wolnego«. Lelewel w płomiennej poezji winy nie dostrzegł i młodego poetę od oskarżenia uwolnił.

Potem, kiedy w krwawym zamierzchu dnia walki poszedł, bolejący cierpieniem Polski na obcą ziemię, w ślad za nim biegła sympatja młodego pokolenia. Miał jej dowody liczne we Francji. A gdy wyścigany nawet stamtąd mściwą ręką monarchów znalazł schronienie w Belgji, jego głośne na cały świat dzieła, jego wzniosły charakter, zjednały mu podziw Belgów; uboga rzesza robotnicza widziała w nim brata, najwyzsi dostojnicy z królem na czele szukali z nim znajomości, ogół, mówiąc o nim, nazywał go krótko »wielkim człowiekiem«, nie dodając nawet nazwiska. Ale któż otaczał miłością tego starca w perkalowej bluzie robotniczej, pochylonego od świtu do nocy nad pracą w ascetycznej, nieopalanej, smutnej izbie? — Młodzież. Ona też wspólnie z gronem uczonych żegnała »wielkiego człowieka« obiadem składkowym, gdy na dni kilka przed śmiercią, naglony przez przyjaciół, opuszczał Brukselę; jej przedstawiciele z uniwersytetów Brukseli, Gandawy i Leodium składają mu hołdy gorące na dworcu w chwili odjazdu do Paryża. Jakaż potęga cofa — ku zdumieniu lekarzy — konającego już Lelewela od krawędzi grobu i przedłuża o dni kilka jego życie? — Potęga miłości serc młodych: czar wspomnień, wyniesionych z uniwersytetu wileńskiego.

Czyj głos brzmiał najwymowniej nad otwartym grobem Lelewela? Młodego robotnika, Paryżanina. Za czyjem staraniem odbyły się okazałe manifestacje na żałobną wieść o śmierci przyjaciela ludzkości? Za staraniem ognistej z r. 61. młodzieży polskiej w Warszawie i Wilnie, a polskiej i ruskiej w Kijowie. Kto wziął sobie, jak sztandar, imię Lelewela w walce o wolność z r. 1863? Młodzieńczy partyzant, Marcin Borelowski.

Któż teraz nakoniec echowo biegnącym po kraju oklaskiem przerywa ciszę zapomnienia, co od lat trzydziestu pięciu przytłacza mogiłę wielkiego Polaka w obcej ziemi? Czy może uznani wyobraziciele opinji publicznej lub uczone jakie ciało? — Nie! To wierna swej tradycji młodzież polska zapala lampę pamięci nad grobem mistrza, który wiódł jej myśl w pomrokę dalekiej przeszłości i w blask przyszłych czasów i udowadnia tem raz jeszcze prawdę słów samego Lelewela, że »węzła myśli« jego z młodzieżą »żadna moc ludzka nie rozerwie«, że ta myśl »wryje się głęboko w serca, w dusze kochanych »dzieci strapionej Polski«. *Marja Wysłouchowa.*

Król Bolesław Śmiały.

K. Glińskiego.

Dokończenie.

W innem świetle staje przed nami wróg jego i zwycięzca, biskup. Autor we wstępnem słowie mówi: »święty, nie gaszę kręgu u twej głowy« — w tragedji

jednak nietylko ów krąg jest zgaszonym, ale nie zdaje się, aby mógł jaśnieć kiedy. W postaci hardego biskupa i rozdrażnionego wroga nie spostrzega się nic, z czego się nimbus świętości wytwarza. Jakie tam głosy przemawiały wyraźniej — Szczepanowskiego, dziedzica możnego rodu, książęcia tego kościoła, który właśnie w owej chwili zwycięztwa swe nad światem znaczył, czy sługi chrześcijaństwa, naśladowcy Chrystusa, osobistości wyżej nad nieokiełzane porywy współczesnych stojącej — o tem historja milczy; wątpić jednak należy, aby lud, który »nie pojmuje, ale czci proroki« oddawał taką pośmiertną cześć człowiekowi, który w uczynkach swych przeważnie pychą się kierował. W długim monologu trzeciego aktu autor czyni go kapłanem, głównie dobro wiary mającym na celu, każe mu nawet toczyć ciężką z sobą walkę, gdy dla wybawienia wiary i kraju (!) od królewskich bezprawi czuje się w obowiązku zdradzić króla i kraj i zawezwać na tron czeskiego Wratysława — mimo to dźwięczy w nim ustawicznie i ponad wszystko wzbija się nuta sobkowstwa i pychy. Tak jak w prośbie za skazanymi nie słychać głosu litości, ani widać żarliwości w zmiękczeniu królewskiego gniewu, tak również i później, w chwili rzucenia klątwy, nie oburzenie święte daje się widzieć, ale raczej zadowoloną pośpieszność, że raz nareszcie tę klątwę można wymówić. Również i to przystąpienie do spiskujących bezpośrednio po spaleniu jego włości przez króla dziwnie niesmacznie wypada i zanadto poddaje myśl osobistej zemsty. Zdziwienie więc nas ogarnia, gdy dowiadujemy się w piątym akcie o cudach, jakie powstają przy jego grobie; jedynie szaty biskupie i śmierć przy ołtarzu, aż tak tłumów czarować nie mogły, lud nie myli się tak dalece w swoich sympatjach.

Inne postaci tragedji mniej lub więcej szczęśliwiej wypadły. Najudatniejszym bezwątpienia jest Władysław Herman. Dobry, miękki, trwożliwy charakter obok silnie rozwiniętej zmysłowości, właściwej zwykle podobnym typom; czci brata, lęka się go i kocha, a jednocześnie zdradza, popchnięty do tego mocniejszą ręką. Sieciech ambitny, nieprzebierający w środkach gdy idzie o dopięcie celu; Wincz, zaufany Sieciecha, dworak-intrygant i stary rozpuśnik królowa, poważna, podniosłego ducha niewiasta, mimo klęski, mimo hańby, mimo nawet zdrady męża, zawsze mu wierna; Olka, próżna, chytra, jak wąż wykrętna, zalotna dworka, Władysławowa kochanka — oto szereg udatniejszych typów Zagadkową, a raczej niejasną jest Krysta; wielka jej miłość do króla, ukoronowana śmiercią z poczucia własnej winy i nieszczęść, jakich stała się przyczyną, podnosi ją na wyżyny i rozgrzesza; a z drugiej strony ta sama Krysta także łatwo potrafi z całą przebiegłością niskiej duszy łasić się do męża, aby zwieść jego zaufanie, potrafi gorzko wyrzucać mu obojętność, gdy inny już w jej sercu. A ten mąż, cóż to za nieszczęśliwie ślamazarne biedaczysko! W chwili największego niepokoju, zazdrości, obawy o utratę ukochanej żony powiada, że jest mu »senno«. Po dłuższem naprężeniu uczuć, po wybuchu choćby najkrwawszych czynów zrozumiałą jest taka reakcja, takie nagłe odrętwienie myśli, ale nie może to być wtedy, gdy wszystkie władze umysłu są w podnieceniu najwyższem A gdy po paru chwilach istotnie spać idzie i przesypia porwanie żony, to powaga królewskiego trębacza do

---

8)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Zacisnął powieki.

Tam już było inaczej. Tam już zaczynał wierzyć — miewał chwile spokoju, szedł do prawdy wraz z innymi i wraz z nimi wątpił, oczekiwał, badał; tylko ich ostrożności, czy też bojaźliwości podzielać nie mógł.

Od pierwszego objawu nieznanej siły powziął myśl, która go ani na chwilę nie opuszczała, stała się jego manją, zmusiła w końcu do zerwania z ludźmi, którzy zgodzić się z nim nie chcieli. On to »coś«, tę niezbadaną formę energji pragnął pochwycić, oddzielić od źródła, bez względu na wszelkie zastrzeżenia i postrachy, zatrzymać tak długo, jak się da... może nazawsze...

Mglisty obłok, następnie wyraźna, wybornie ukształtowana postać, którą widywał powstającą z uśpionego medjum, z początku zdumiewały go, zaciekawiały, w końcu zaczynały drażnić. Zjawisko pojawiało się i znikało niezależnie od obecnych, w najdziwaczniejszych warunkach, nie dawało się unormować, ująć w karby... Żyło, istniało, posiadało indywidualne cechy, odróżniające je od medjum, ale wciąż tylko było drażniącą zagadką, majaczeniem, któremu obecni przez zbytnią ostrożność nadawali nieokreślone jakieś znaczenie.

Zżymał się, gdy o tem myślał; gwałtowna, stanowcza natura domagała się rozwiązania zagadki, chociażby kosztem życia. Od czasu, kiedy na wszelkie możliwe sposoby przekonał się, że nie ulegał halucynacjom, że to, co widział, istotnie istniało, pochwycenie stało się dla niego koniecznością i myślał o tem aż do zawrotu głowy: układał plany, robił najdziwaczniejsze przypuszczenia... Śnił o tem całemi nocami... Budził się z rana, jak z letargu, ociężały, bezmyślny; z trudnością wracał do życia... Lecz zaledwo odzyskał przytomność, siły, energję, ciekawość — budziły się z nową mocą, przybywały nowe argumenty gwałtowniejsze, dokuczliwsze, których stłumić nie chciał i nie mógł.

reszty poderwaną zostaje. Następnie, gdy oczekujemy jakiegoś wybuchu rozpaczy, słyszymy tylko kwilenie pod oknem, po za którem król pieści jego żonę. Skąd więc później wzięło się to samobójstwo, kiedyśmy już tylko spodziewali się płaczu? — Pieczętarz królewski, Czapla, intrygant i chciwiec występuje jako tak zwany »czarny charakter«, lecz tak nieszczęśliwie jest skreślony, że brać go na serjo nie możemy. Dziwić się tylko wypada, jak podobny mizerak, w którym ani odrobiny sprytu i przebiegłości właściwej pańskim zausznikom niema, może tak poufne zajmować miejsce, być takim totumfackim przy wielkim królu, przy strwożonej, wspaniałej królowej. Również osobistości, którym autor dał komiczne role mniej przynoszą tragedji ozdoby, niż szkody. Niedołęstwo idjotyzmu, ani dowcipne, ani śmieszne, nie może być okrasą żadnego, tembardziej poważnego utworu.

Wogóle pomimo bezwarunkowo udatnych i pięknych nawet typów, mimo scen barwnych, niekiedy żywych i wzruszających, mimo przewijającej się nici społecznej walki, tej struny dla dzisiejszego czytelnika ostro naciągniętej i boląco brzmiącej, a najbardziej bliskiej, mimo wzniosłe dążności króla, z poza których przyświecają się sympatyczne dążności autora — mimo te garściami promieni rozsypane po całem dziele cechy dodatnie, utwór w całości swojej nie posiada tego artystycznego zakroju, jakiego moglibyśmy się spodziewać i po formie jego — tragedji, i po tak wspaniałym temacie. Doniosłość artystyczną podrywa tu w wielkiej mierze niejednolitość tła, to rozpadnięcie się akcji na kilka równoznacznych odcieni. Aby otrzymać siłę, należy stworzyć jedność. Skoro cała dążność twórcy, całe naprężenie jego uwagi i kierunek myśli zwrócone są ku jednemu wyłącznie celowi, ów cel, ów punkt wytyczny otrzymuje jasne i zewszechstronne oświetlenie; pozostawiając wszystko inne w półcieniu, wysuwa się naprzód, porywając ku sobie i samego twórcę i jego czytelników. Zdawaćby się mogło, że pierwszorzędni dramaturdzy umieją bez szkody podwójne temata wprowadzać do swoich utworów, lecz ta dwoistość jest pozorną. Najbardziej lubujący się w ilościowych tematach, Ibsen, zasadnicze swe idee wysnuwa z szeregu wpierw postawionych tematów; nowy punkt wytyczny, który nagle odsłania widzom, jest tylko rozsnuciem się poprzednich koncepcji, jest poprostu dalszym wynikiem dawnych przesłanek i wniosków. Nie podrywa też piękności utworu, gdy obok głównej akcji stawimy drugą o zabarwieniu zupełnie różnem; owszem wprowadza to rozmaitość miłą dla uwagi czytelnika i uwypukla niejako przebieg akcji głównej. Ale tak nie jest, gdy interes dla głównego celu rozprasza się na mnóstwo równej wagi przedmiotów. Praca pana Glińskiego ma to nieszczęśliwe rozpraszanie uwagi czytelnika. Tyle się tam głównych, równego oświetlenia i równego znaczenia punktów ukazuje, taka obfitość nagromadzonych równobarwnych tematów, że ostatecznie nie otrzymuje się tak silnego, pochłaniającego wrażenia, jakby się to dało przy jednej silnie zarysowanej akcji. Podobna historja zachodzi z ugrupowaniem faktów. Czytelnika nie uderza łączność i nieodzowna konieczność wypadków; nagromadzają się tu one w ogromnej ilości, jakgdyby przypadkowo i niespodzianie, stąd i osoby drugorzędne, mimo doniosłość swej roli, zdają się być luźnie tylko do całego przebiegu akcji przyczepione. Tak jedna

---

W Paryżu bywał tylko na posiedzeniach, jako członek; pozwalano mu przyglądać się, robić wnioski, ogłaszać drukiem co widział i słyszał, ale na własną rękę działać nie mógł: ulegał pewnej karności, która go w końcu zniecierpliwiła. Oni robotę rozkładali na całe wieki, a jemu do śmierci może już tylko parę lat zostało.

Teraz chciał spróbować sam... Cisza, samotność, skupienie ducha — skuteczniejsze być mogą, niż wszelkie metody i naukowe ostrożności. Posiadał potężny zasób siły magnetycznej... tej sile wszyscy znani badacze zawdzięczają swoją wiedzę, wyjątkową swoją potęgę, która bądźcobądź... istniała!.. Ślady jej poznał i zrozumiał, wczytując się w różnorodne hieroglify, które mu do rozwiązania zagadki dopomódz miały...

Sam... bez świadków i kontroli, bez tych zdumionych albo niedowierzających twarzy, dla których istniał tylko sam fakt zjawiska, chciał zbadać przyczyny.

Przestał o tem mówić, przestał pisać, zamknął w sobie cały zasób przekonywających argumentów, gwałtowne wybuchy przeciwko szydercom, sceptykom, zmaterjalizowanym mędrkom.

Uspokoił się pozornie, — tylko nad roztargnieniem zapanować nie mógł — i pamięć zaczęła szwankować Powszednie, codzienne sprawy zlały się jakby w jedną szarą masę; nieraz zrozumieć nie mógł sporów, krzyków, jęków i narzekań, a gdy przy silnem skupieniu uwagi zrozumiał w końcu, o co idzie, wzruszał ramionami nieznacznie i odchodził w milczeniu...

Ludziska muszą grzebać się wiecznie w tych samych sprawach i zadaniach, żyjąc z dnia na dzień; muszą własne zachcianki uważać za prawa, rządzące światem! Z brutalnej przewagi materji nad duchem wyswobodzi ich tylko jasna, dla wszystkich dostępna świadomość o dalszym ciągu życia.

Nie widział innej drogi do podniesienia i uszlachetnienia ludzkości...

Poszukiwał medjum; kilka słabych objawów tego rodzaju dostrzegł u swych pacjentek, rozwinąłby może i spotęgował tę siłę, gdyby nie opór chorych, które oburzyły się na samo przypuszczenie, że im jakieś »dziwaczne« właściwości

z najgłówniejszych sprężyn tragedji, owa Krysta, która jest przyczyną ostatniego nieszczęsnego starcia między królem i biskupem, jest tak nawiasowo wtrącona, tak przyczepiona znienacka iż się wydaje, jakby jedynie jej poświęcony akt II. był jakąś odmienną szybką w całość wstawioną. To samo z uscenizowaniem: osoby wchodzą i wychodzą nie wtedy, kiedy im trzeba, a skoro autorowi tak wypada. Dla akcji dramatycznej nie małą też ujmę stanowią olbrzymie monologi, któremi cały utwór jest nastrzępiony. Wogóle gadulstwa za dużo; najdonioślejsze sceny są rozcieńczone tą wodą; zamiast silnych wstrząsających przemówień, słyszymy sążniste tyrady, zamiast gromów walki — zrzędzenie; ileżby zyskał król — ów popędliwy nieukrócony król — gdyby miał zwyczaj chociaż trochę mniej gawędzić. Jeśliby autor zechciał pracę swą dać na scenę, przypuszczać należy, iż byłby zmuszony w wielu miejscach pod tym względem porobić przeróbki. Za to zewnętrzne ramy są wspaniałe; dużo jest obrazów tak pięknych, iż schwycone na płótno dałyby dzieło pędzla przepiękne; na scenie wypadłyby nader efektownie. Język poważny i barwny, poetycki, nadaje cechę wspaniałej powagi utworowi.

W. Dalecka.

Antonio Fogazzaro.

Włosi mało posiadają dzisiaj poetów i artystów, których znaczenie przekraczałoby granice ziemi ojczystej. Pewnego rozgłosu europejskiego nabrali — z liryków Carducci, a w ostatnich czasach młoda, do niedawna jeszcze w największej nędzy żyjąca nauczycielka ludowa, Ada Negri, która namiętnemi słowy kreśli w tendencyjnych rymach niedolę maluczkich; z dramatyków znani są u nas Rovetta i Marko Praga, z powieściopisarzy zaś i nowelistów Giovanni Verga — rozsławiony dzięki Mascagni'emu, który jego Rycerskość wieśniaczą użył, naturalnie w przeróbce, za libretto do swej opery, oraz Gabriel d'Anunzio. Od czasu do czasu spotykamy się także z nazwiskami Faziny lub Matyldy Serao i na tem koniec. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć jednego z pisarzy, nie należącego wprawdzie do najnowszych, Zolę czy Bourgeta naśladujących naturalistów, werystów lub innych istów, zajmującego jednak w regeneracyjnym literackim ruchu włoskim miejsce nader poczesne.

Zajęcie się jego osobą tem więcej jest uprawnione, ponieważ autor »Daniela Cortis« wystąpił obecnie z nowym romansem, choć przed pięciu jeszcze laty, rozżalony na krytyków i obojętną publiczność włoską, zapowiedział w otwartym liście do jednego z pism rzymskich, że składa pióro i więcej już ziomków swoich utworami wyobraźni swej zajmować nie będzie. List, zapowiadający likwidację literackiego interesu Fogazzara, naro-

---

przypisywano! Dwie z nich przestały się leczyć, trzecia głosiła, że hypnotyzm zdenerwował ją ostatecznie i stała się najzaciętszym wrogiem doktora!

Dopiero przed trzema tygodniami trafił na ciekawy okaz...

Wrócił do domu, jak zwykle, o czwartej... W poczekalni siedziało kilka osób; przeszedł około otwartych drzwi ze spuszczoną głową. był strasznie zmęczony: pracował sześć godzin z rzędu.

Przy drzwiach gabinetu stała kobieta, młodziutka dzieweczka siedziała przy niej na krześle. Kobieta miała lat trzydzieści kilka, wyglądała na suchotnicę... W czarnej spódnicy, w czarnym, aksamitnym, obwisłym kaftanie w starej koronce związanej pod brodą, bez rękawiczek, w przydeptanych, prunelowych pantoflach, tuliła się do ściany i drżała zlekka; musiała być piękną niegdyś: śniadawa, brunetka, o delikatnych rysach, w czarnych, ogromnych oczach miała wyraz bólu i trwogi.

Gdy doktór stanął przed nią, wcisnęła się w kąt i tylko ruchem ręki swoją śliczną córeczkę wskazała, przyczem w oczach jej łzy stanęły; spuściła oczy: pyszne czarne rzęsy zarysowały się na śniadych policzkach; wciśnięta w kąt, chudą ręką przytrzymywała aksamitny kaftan na piersiach, a w całej postawie było tyle pokory, smutku, zażenowania, że doktór na razie przemówić do niej nie śmiał.

Wziął dzieweczkę za rękę, wprowadził do gabinetu. Matka wsunęła się za nimi nieśmiało, stanęła przy drzwiach w cieniu, a gdy doktór przysunął krzesło — usiadła na brzeżku. Przez cały czas rozmowy patrzała w ziemię, chwilami tylko z pod długich rzęsów rzucała na doktora bystre spojrzenia, w których malował się niepokój, ciekawość i smutek głęboki stanowiący główny rys tej wychudłej kobiety w starym aksamicie i w starej koronce.

Z odpowiedzi jej poznać było można umysł logiczny i namiętne przywiązanie do dziecka, któremu widocznie cały swój czas i całą duszę poświęciła od pierwszego dnia życia.

(C. d. n. *Ostoja.*

bił onego czasu wiele wrzawy, oskarżał on nietylko ogół włoski o obojętność dla literatury ojczystej, ale zwracał się i to w głównej mierze przeciw nowoczesnym „werystom", przypisując im ujemny wpływ na rozwój piśmiennictwa ojczystego. Pod wielu względami miał Fogazzaro słuszność, zwolennicy bowiem »nowej szkoły«, zajęci przeszczepianiem nowych form, nowych metod, podpatrzonych u pisarzów zachodu, zwłaszcza francuzkich, nie umieli wytworzyć sobie jednolitości poglądów, nie umieli stworzyć harmonji pomiędzy formą a treścią, poświęcając z natury rzeczy tę ostatnią dla pierwszej. Nawet twórczość tak bardzo sławionego d'Anunzia posiada do tego stopnia cechę naśladownictwa, że przed kilku zaledwie tygodniami był on zmuszony bronić się publicznie od zarzutu, iż żywcem okrada Zolę.

Naturalizm, który niewątpliwie dużo zdziałał dobrego, zwalczając brak prawdy w formie i księżycową sentymentalność treści, ujemnie wpłynął na pisarzy włoskich choćby dla tego, że spotęgował w nich jeszcze bardziej czysto formalną stronę twórczości, właściwej duchowi ziomków Petrarki, nie umiejąc natomiast oddziałać na odrodzenie treści, na spotęgowanie i pogłębienie uczucia. Obok zwolenników autora »Germinala« i »Nany«, pojawił się we Włoszech szereg mniejszych lub większych Ibsenistów, Dostojewszczyków i wielbicieli Tołstoja, wszystkie atoli próby, zmierzające do przeniesienia na grunt włoski metody drobiazgowego analizowania prądów psychologicznych, przedstawiania marzycielskich nastrojów lub symbolizowania nieuchwytnych drgań duszy ludzkiej nie udawały się, przybierając niejednokrotnie rysunek karykaturalny. Nie udawały się dlatego, ponieważ ludzie wychowani w czystej atmosferze jasnego, blaskami słońca przepojonego nieba, inny zupełnie posiadają ustrój psychiczny, aniżeli istoty oddychające wilgotną mgłą północy, a dla których mgłą tą owiane przedmioty nie posiadają tych wyrazistych, plastycznych konturów, w jakich świat przedstawia się oku włoskiemu. Ztąd też postacie np. Ibsenowskie, spotykane w literaturze włoskiej, są wytworami sztucznemi, nie mającemi realnego, własnego gruntu pod nogami; kreacje tego rodzaju, pozbawione oryginalności, żyjące nie sokami ziemi włoskiej, ale wyziewami natury północnej, nie mogą dodatnio wpłynąć na rozwój literatury ojczystej. „Nowoczesność" dotyczy li formy, która zresztą u Włochów prawie zawsze była doskonałą, Fogazzaro miał więc rację, jeżeli szkołom „modernistów" nie tylko że nie przypisywał tak doniosłego znaczenia, jakie oni sami przywłaszczyć sobie pragną, ale wprost działalność ich potępił, sam zaś własną swoją szedł drogą bez oglądania się na to, czy to, co społeczeństwu daje jest, modne lub nie.

Autor wydanego świeżo »Starego Światka« *(Piccolo mondo antico)* umiał sobie, w przeciwieństwie do innych kolegów, wyrobić jednolity pogląd na świat i jego sprawy. Pogląd ten może być dla niejednego niesympatyczny, może stać w dysharmonji z zdobyczami ścisłej nauki, nie opiera się też na wymędrkowanych problemach dekadenckich — sam fakt atoli, ze znalazł się we Włoszech pisarz, który robi wrażenie wyciosanego z jednej bryły posągu, jest nadzwyczaj dodatnim i dla literatury włoskiej, tak ubogiej dziś w talenty naprawdę samorodne i skonsolidowane, może być płodnym w skutki doniosłe.

Gdyby nie zdolność obserwowania realnych przejawów życia i oddawania ich w kształtach wyrazistych, możnaby Fogazzara zaliczyć do nowożytnych mistyków: jest to pisarz wierzący w Boga i boski ustrój świata, na duszę ludzką zapatrujący się, jako na odrębną, z fizycznemi funkcjami ciała niezwiązaną, supernaturalistycznem życiem obdarzoną istotę. Kreśląc stosunek ludzi do świata zewnętrznego, nie zadowalnia się oddaniem realnych, dla ludzkich oczu widomych obrazów życia, ale ponad stosunkami ziemskiemi stawia świat nadprzyrodzony, nadzmysłowy, świat, który wpływa na proces tego życia, bierze w niem rozstrzygający nieraz udział. W takiem pojmowaniu rzeczy dochodzi Fogazzaro do pojęć już nie spirytualnych, lecz spirytystycznych, dzięki którym otaczający człowieka świat duchów przejawia obecność swoją środkami zmysłowemi, widzialnemi dla oka, słyszalnemi dla ucha naszego.

Posiada on jeszcze jeden rys znamienny, odróżniający go nietylko od współczesnych, lecz i dawniejszych autorów włoskich — mianowicie niezwykłe, wysubtelnione przejmowanie się naturą. Stosunek jego do przyrody ma charakter mistyczno-panteistyczny: nie posiadają Włosi poety, u którego wrażenia i obrazy natury nie byłyby tylko sztafażem, tłem zewnętrznem, nie zaś treścią wewnętrzną; dopiero Fogazzaro zlewa się całkowicie z przyrodą i przepięknie oddaje nastrój tego zlania. Pomiędzy postaciami jego romansów, a przyrodą ścisły, wewnętrzny zachodzi związek, są one istotną, nierozerwalną cząstką tego życia duchowego, które autor dostrzega czy to w szumie drzew, czy w błękitach wody, w woni kwiatów, w rozległych, słoneczną atmosferą przepojonych horyzontach nieba.

Fogazzaro (ur. 1842) wychował się i do dziś dnia żyje w jednym z najbardziej uroczych zakątków świata, w dolinie Valsolda nad cudownem jeziorem lugańskiem. Niemal wszystkie jego powieści rozgrywają się nad brzegami tego jeziora a i najpierwszy tomik jego poezji, zatytułowany »Valsolda«, jest odbiciem wrażeń i zachwytów, jakich młody autor tamże doznawał na widok rozbłękitnionej powierzchni wód i otaczających ją gór wspaniałych. Tomik ten posiada cechę marzycielską, wywołaną romantycznemi czarami otaczającego go świata zewnętrznego, w którym atoli poeta umie dopatrzeć się żywego

ducha i traktować go jak brata. W tem rozpływającem się w kształtach przyrody obcowaniu z nią czerpie poeta ukojenie na ból, czerpie otuchę i natchnień siłę, wiodącą go na szczyty ludzkiej myśli, ludzkiego uczucia. Góry, wody i lasy przemawiają do niego, jak istoty mu pokrewne, pod działaniem ich uroku, pod wpływem czarownych, a wabnych głosów. wydobywających się z wnętrza boru lub z szmeru źródła, zapomina on o realnych warunkach bytu, unosząc się na skrzydłach tęsknoty w sfery niepojętego.

(Dok. nast,)

BOBAK!

(Z cyklu poezji prozą: „Łzy i uśmiechy).

W owym dalekim, bajecznym czasie, kiedy w mojej paroletniej głowie, zewnętrzne wrażenia przybierały olbrzymie kształty, fantastyczne linje, jaskrawe kolory; gdy moja niekarna natura sprawiała starszym sporo kłopotu, gdy nieraz umęczono się nad przyprowadzeniem mnie do porządku dziennego, — po wyczerpaniu wszelkich zasad przekonywających, mówiła mi moja kochana piastunka, szląząaczka, Rózia:

— Bądź gzecna, bo cię Bobak źje!

Mówiła to z taką poważną miną, z taką pewnością siebie, z takim żalem nad losem jaki mnie rzekomo czekał, że był czas, w którym nieledwie wierzyłam w istnienie tego pogromcy niekarnych dzieci i cichłam trochę, lecz w wejrzeniu mojem musiało być nieco sceptycyzmu, bo Rózia uważała za konieczne popierać swoją groźbę szczegółami:

— A Bobak jest zły, strasny, ma ostre zęby, pazury, umie biegać, pływać, latać, nigdzie się przed nim nie schowas! pamiętaj-ze sobie!

Moja krnąbrna duszyczka opamiętywała się na chwilę i rozmyślała głęboko nad wielkością tego potworu, nad jego uzbrojeniem w te kły i pazury. nad wędrownością jego zdumiewającą, i kornie się zginała na chwilę przed tą niewidzialną potęgą, rezygnowała z zielonych jabłek, surowych ogórków, z wdrapywania się na drzewa, z rwania kwiatów na grządkach, z przechylania się nad wodą, z mnóstwa rzeczy, których nie wolno było pod grozą gniewu Bobaka Widziałam jego paszczę, ziejącą gorącym dymem, przysuwającą się ku mnie, jego łapy ciężkie, wpijające mi się w ramiona, jego oczy czerwone, pożerające, słyszałam jego gwałtowny krok, którym mnie już niby dopędzał lądem i wodą, — i nieraz, w mgnieniu oka, grzeczniałam; tylko że poczciwa Rózia kładła to moje przeobrażenie na szalę zasług zaświatowego straszydła, nie wiedząc, że moją pogromicielką była moja własna bujna wyobraźnia, opanowana i podniecona nadzwyczajnością przedmiotu.

Czasem jednak, bunt jakiś wesoły podnosił mój umysł dziecinny przeciw tej urojonej powadze, która jakoś nie zjawiała się nigdy z wymiarem swej żarłocznej sprawiedliwości, pomimo wielkiej ilości zjedzonego przezemnie szczawiu w ogrodzie, pomimo wiśni, połykanych z pestkami, pomimo nieuwagi przy robótce na dwóch tylko drutach, piskliwego wrzasku przy zabawie, pomimo nawet stłuczonej szklanki, i o, zgrozo! pomimo umyślnego siedzenia na chwiejnym płocie, przez ciekawość — czy też on przyjdzie! Byłam bardzo niegrzeczna, a Bobak mnie nie zjadł! Łatwo mi się te wyobrażenia skojarzyły w głowie, grobla strachu runęła, a fala zawadjackiej żywości rozlała się szeroko po domu i ogrodzie. Wówczas umartwiona Rózia zaczynała na nowo:

— Co ty sobie myślis! pamiętas, com ci gadała, co?

— Pamiętam! — brzmiała przekorna odpowiedź.

— No, to cemuz dokazujes!

— Eee! bo niema na świecie żadnego Bobaka! Byłby mnie dawno już zjadł za — to wszystko!

To wszystko, — to były moje winy, które namnożyły się przerażająco przez krótki przeciąg jednej pięknej wiosny, wywabiającej mnie nieprzeparcie w gęstwinę kwitnących krzewów i trawników, przez wszystkie płoty, uwagi, parkany i pogróżki.

— Słuchaj, no... On daleko, ale pocekaj! pobrois kąsek jesce, to dopiero będzies miała! Inne dzieci połyka od razu, a ciebie, boś bardzo zbytna. będzie gryzł pomalućku!

Wzdrygnęłam się. Jakieś dalekie, tajemnicze trwogi drgnęły mi wpół świadomie na dnie serca... będzie bolało powoli... długo... Więc westchnęłam głęboko, a pewnie rzymski gladjator nie z większą rezygnacją wygłaszał w arenie swoje: *morituri te salutant*, jak ja wówczas szepnęłam ukorzona: O, Bobaku!...

Ach, jak to dawno! Ileż lat minęło! przez ileż ognia i wody, przez ileż żywiołów, wrażeń, pokus, walk, niepokojów i uniesień przedarła się dusza! Tamtego Bobaka nie widziałam nigdy, jako żywo; nie zjadł mnie; wyrosłam z epoki strachów i pogróżek, uchowałam się jakoś, i — ustatkowałam na przeciąg czasu między dzieciństwem a młodością, i czy uwierzycie? później dopiero spotkałam Bobaka na żywe oczy, ale pod innemi postaciami. Ależ bo i na inny sposób zaczynałam być — niegrzeczna, — niekarna, samowolna...

Młody duch wyrywał się w świetlane ogrody marzeń, ogrody wiszące w słonecznych promieniach, kuszące wiosną życia, wspinał się na szczyty wiedzy, żądny światła, niepokoił się

tajemnicami, pożerał różne książki, pochłaniał trudne i smutne dzieła, od których chorował, cierpiał, rozwijał się przedwcześnie, ale czytał, pił z namiętnością ogromną falę myśli, a równocześnie rwał kwiaty uczuciowych uniesień bez miary, bez wytchnienia, i nareszcie szybko i wcześnie, rozkwitł tą wielką niekarnością człowieka — marzeniem o szczęściu. Coś ostrzegało, wstrzymywało, groziło: nie spiesz się... miłość przyjdzie i zje cię... Uśmiechałam się z pogróżki i czekałam na pięknego Bobaka, niecierpliwie, a radośnie... aż – przyszedł! Oh! nieubłagane stworzenie! zanurzył we mnie swe płomienne oczy, zagłębiał swe zdobywcze szpony w sercu; czarownym, wiosennym oddechem otumaniał; na ziemskim gruncie zmysłów postawił, morzem uczucia oblewał, powietrznemi skrzydłami marzeń kołysał; dognał w najskrytszych okręgach serca wzajemnej iskry, której pragnął, — i dotego chciał widać, żebym w wszechwładną jego potęgę uwierzyła bez żadnych wątpliwości i zastrzeżeń, bo wedle dawnych wróżb mojej piastunki — pochłaniał mnie powoli... powoli... nie szczędząc niepokojów i zachwytów, słodyczy i bólu... O, Bobaku!

Gdy tak opanował jedną strunę mojej duszy, wziął się do innych, rwących się buntowniczo w pełnej sile młodości do czynnego w życiu udziału... Zaczął podbudzać, straszyć wyobraźnię, napełniał ją tłumem obrazów, rozpalał gwałtownie jej barwy, naprężał jej ruch; napinał pamięć, kojarzył zjawiska w szeregi, drażnił wrażliwość, wsączał niepokojące pierwiastki tęsknoty i przeczuć, mieszał krople upojeń z iskrami cierpienia, ludzkie ciepłe serce ścierał z pięknem przyrody, z tragiczną rzeczywistości prawdą, mgłą liryczną je poił, i wśród tego naprężonego starcia wewnętrznych i zewnętrznych błysków i dźwięków, wabił w nieznany, ponętny, uroczy świat poezji, ten cudotwórczy samowładca — natchnienia! I zrobił ze mną w końcu ten Bobak, co chciał...

(Dok nast.). *Szczęsna.*

Przegląd pism.

Die Gesellschaft. Monatschrift für Litteratur, Kunst u. Sozialpolitik, XII. Jahrgang. Erstes Quartal (Heft 1, 2, 3) Leipzig 1896.

Miesięcznik ten, znakomicie redagowany, powstał przed dwunastu laty jako organ »młodych Niemiec« i jak przedtem tak i teraz odzwierciedla ruch umysłowy najbardziej postępowych żywiołów w literaturze i sztuce.

Z artykułów społecznych lub politycznych, nacechowanych duchem postępu, na pierwszy plan występują prace Adama Altena: *Die national-öconomischen und sozialpolitischen Ferienkurse in Berlin.* Jana Meriano: *Völker Europas, wahrt eure heiligsten Güter!* i K. Schimkusa: *Der Kapitalismus und die Landwirtschaft.*

Z filozoficznych mamy tu Emila Kuhna: *Materie und Geist*, Dra M. Schwama: *Individualismus* — z psychologicznych zaś Jules'a Saint-Froida: *Die Geisteskranken Psychiater.*

Najobszerniej jednak reprezentowaną jest tu literatura i sztuka. Prócz sylwetek Rudolfa Lothara, Arnolda Böcklina i Pawła Verlaine'a, niedawno zmarłego przedstawiciela francuskiego dekadentyzmu francuskiego — prócz artykułów krytycznych traktujących o literaturze, sztuce i scenie niemieckiej lub obcej na treść składają się nowele, dramata i poezje.

Na polu powieści i poezji przeważa naturalizm lubo i nowe kierunki wyraźnie się nieraz zarysowują.

Dla nas najciekawszym będzie jednakże dział *„Kritik“*, w którym pomieszczono wiadomości o ruchu literackim w Francji, Anglji, Skandynawji, Hiszpanji, Włoszech etc. Otóż w dziale tym w zeszycie drugim znajdujemy dość długi artykuł sprawozdawczy o polskim ruchu literąckim. W sprawozdaniu tem, pióra Henryka Nitschmanna, w sprawozdaniu bardzo powierzchownem znajdujemy wzmianki o »Rozprawach i sprawozdaniach« Tarnowskiego, o rozprawie dra Alb. Zippera »Przekłady Mickiewicza z Goethego« i o wydaniu »Poematów« Byrona w przekładzie w roku zeszłym. Przy tej sposobności Nitschmann podnosi wartość przekładów M-skiego i Kasprowicza. Prócz tych ważnych notatek znajdujemy i uwagi o poezjach tak lichych, jak »Na strunach serca« Leitgebra a nawet o ukazaniu się na półkach księgarskich książeczki »Wesoły deklamator«. Z tęgo widocznem, że sprawozdawca nie przebiera wcale wśród nowości, ale notuje to co mu pod rękę podpadnie, zapominając o dziełach polskich wielkiej nieraz wartości a notując takie na które my, nawet u siebie nie zwracamy uwagi.

W dziale »Dichteralbum« w zeszycie trzecim znajdujemy przekład wiersza Gomulickiego »Non omnia vanitas«, przez Władysława Gumplowicza.

Zdzisław.

Wiadomości bibljograficzne.

— Ograniczanie obrzędów religijnych na Litwie przez Pr. (Odbitka z Dziennika pozn.) Poznań, 1895, w 4ce str 1.

— O stosunkach polsko-rosyjskich (Odbitka z Dziennika pozn.). Tamże, 1895, w 4ce, str. 1.

— Pogrzeby katolickie w kraju północno zachodnim (Odbitka z Dziennika pozn.). Tamże, 1896, w 8ce, str. 20.

— Prześladowanie krzyżów w kraju północno-zachodnim (Odbitka z Dziennika pozn.). Tamże, 1895 w 8ce str. 23

— Prześladowanie na Żmudzi (Odbitka z Dziennika pozn.). Tamże, 1895, w 4ce, str. 1.

— Przymus cerkiewny (Odbitka z Dziennika pozn.). Tamże, 1895, w 8ce, str. 1.

— Tłuczenie krzyżów na Żmudzi (Odbitka z Dz. pozn.). Tamże, 1895, w 8ce, str. 1.

— Z ihumeńskiego powiatu (Odbitka z Dziennika pozn). Tamże, 1895, w 8ce, str. 2.

— Z Warszawy (Odbitka z Dziennika pozn.). Tamże, 1896, w 8ce, str. 8.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.